

Tarcze

Krąg Vendariona. Okruchy

Autor: Piotr Grochowski

/Rezydencja Rogera Blake'a, Memoria, latem 59 r./

– A tę – Roger Blake wykonał zamaszty gest i dokończył niskim głosem – zwiemy Komnatą Tarczowników.

Roderick wydał policzki, chcąc rzucić jakąś uwagę w stylu: „I niby czemu miałyby mnie to choć trochę interesować”. Powstrzymał się jednak i rzekł:

– Hm. Robi wrażenie...

Blake pochylił siwą głowę i spojrzał na młodzieńca spod na wpół przymkniętych powiek, po ustach starca błąkał się delikatny uśmiech.

– Doprawdy... – ciągnął Roderick, starając się zabrzmieć jak najszczerzej. Tak właściwie, sala mogłaby wywołać podziw każdego oglądającego. Była monumentalna. Wysoki, zdobiony strop, pokryte drewnem ściany, ciemna, kamienna podłoga. I tarcze. Dziesiątki, a może setki tarcz. Różnorodne w kształcie – od idealnie okrągłych, poprzez owalne, prostokątne, po te najbardziej znane, posiadające szpiczaste zakończenie i przypominające wydłużone trójkąty. Były i fantastyczne, wymyślne, o nieregularnych bokach. Tarcze. Ściany były nimi obwieszane. – Niezwykłe...

– Zaiste, to nie jest zwykła komnata. To izba tajemnic.

Tym razem Roderick nie zdołał ukryć rozbawienia i niedowierzania. Gdy zdał sobie z tego sprawę, poczerwieniał lekko. Nie było jednak karcącego wzroku, żadnego komentarza ze strony starca. Blake zamyślił się.

– Twoje imię, dawne imię...

Młodzieniec pokiwał głową. „No tak”, rzucił w myślach, „przecież teraz nie jestem już Roderickiem. Nie wolno mi o tym zapominać. Roderick Noakes nie żyje”.

– To imię o wielkiej potędze. Jakaż szkoda, że nie mogłeś go zatrzymać. – Blake posmutniał. – Było wielu tego imienia, pośród Tarczowników. Nadawano je często narbońskim i nezańskim rycerzom, także wybitni gwardziści, strażnicy, czatownicy byli nim obdarowywani. Chociaż... – Blake pojaśniał na twarzy – co z radością przyznaję, Vincent to równie ważne imię. Niejeden czarodziej... Ale miałem nie o tym.

Roderick westchnął. „Vincent – czarodziej, wprost wyśmienicie”. Roger Blake, posiadacz największej fortuny w Północnym Dystrykcie, w tym drugiej co do wielkości korporacji w samej Memorii, musiał posiadać jakieś dziwactwa. Zamiłowanie do bajd i legend, oto jedno z nich. „Przynajmniej, a nietrudno sobie wyobrazić, że mogło być gorzej, to niegroźne dziwactwo”.

– Wspominałem o komnacie – kontynuował Blake, a jego niski głos niósł się po sali – o tajemnicach i potędze, o mocy imion. Powinienem ci rzec o mocy tarcz. Bo tarcze nie są zwykłymi częściami oręża. O nie...

Starzec podszedł do masywnego stołu, ustawionego pośrodku pomieszczenia. Na nierównym, drewnianym blacie spoczywała okrągła tarcza. Blake podniósł ją, jakby z cziągą, mruczając coś pod nosem. Roderick zmarszczył brwi.

– Vincencie. Myślę, że będzie dobrze, jeśli ją założysz.

Roderick skrzywił się. Spojrzał pytająco.

– Powinieneś sam wybrać jedną – rzekł Blake – ale raz, że nie mamy czasu na rytuały, a dwa, tak z całą pewnością będzie ciekawiej...

Roderick pokręcił głową, nie rozumiejąc, co się dzieje. Starzec wręczył mu tarczę, trzymając ją za brzegi. Wewnątrz, na spodniej części umocowano skórzany uchwyt.

– Pasuje – roześmiał się Blake. – No widzisz, a ja się martwiłem. – Głośno klasnął w dłonie. Trzykrotnie. Gdzieś skrzypnęły drzwi.

W komnacie pojawili się mężczyźni. Czterej rośli ludzie, ubrani w wykwintne białe koszule z zakasanyimi rękawami, zdobione kamizelki, ciemne spodnie i wypolerowane wizytowe buty, zaczęli krążyć dookoła środka sali. Blake rażno przemaszerował między dwoma z nich i zatrzymał się w drzwiach, przez które wcześniej wszedł z Roderickiem. Młodzieniec został sam.

Nieznajomi trzymali broń, jakieś długie ostrza. Ich twarze były jakby wykute z kamienia, jasne, nieprzeniknione, spokojne, pozbawione wyrazu. Roderick poczuł strach. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś głupi żart, ot kolejne dziwactwo Blake'a. Teraz bał się naprawdę.

Roger Blake złapał uchwyty na drzwiach i, powoli zamykając za sobą obydwie skrzydła, wycofywał się z sali, mówiąc:

– Panowie, ten młody, jasnowłosy człowiek to Vincent Blake, długo niewidziany w tych zacnych progach członek naszego rodu. Kto zdoła go zabić, otrzyma nagrodę. Będzie imponująca, a znacie mnie i wiecie, że w przypadku ważnych spraw nie bywam skąpy.

Roderick zbladł. Zabójcy obserwowali go bacznie, wysłuchując poleceń. Co najmniej dwaj z nich do pasków u spodni przymocowali kabury z bronią palną.

– Vincencie, mój drogi, nie przynieś mi wstydu. Bądź tak miły i nie daj się zabić. To proste. By przeżyć, stań się Tarczownikiem.

Liczby. Układy. Pozycje. Przyczyny i skutki. Zależności. Roderick nareszcie pojął to jako całość. Choć może winien nazywać samego siebie „Vincentem”? Właśnie teraz, gdy wszystko nabrało sensu, kwestie dotyczące imion, stawały się częścią układanki.

„Jeden”, „cztery” i „osiem”.

Zawsze kochał liczby, rozumiał je, trwał dzięki nim. Im zawdzięczał wszystko. Układy i pozycje utorowały mu drogę do sukcesu. Przyczyny i skutki były nieodłączną składową jego pracy, a zależności od zawsze stanowiły sedno.

Czas zwolnił, oddech Rodericka... nie... oddech Vincenta słychać było niczym basowy pomruk, rozciągnięty w nieskończoności.

Po raz pierwszy usłyszał głos, więc nazwał ten moment „jedyneką”. Głos nie brzmiał, po prostu zakolatał mu wewnątrz czaszki: „Oddychaj”.

Wciągnął powietrze w płuca, gdy spadł pierwszy cios. Długie ostrze chrupnęło o metalową krawędź drewnianej tarczy. Paski umocowane wewnątrz wpiły się Vincentowi w przedramię. Drugi z zabójców doskoczył od tyłu i zamierzył się.

„Obrót”, zasyczał głos wewnątrz czaszki. „Dwójka”. Więc odwrócił się bokiem, zagryzł zęby i lekko ugiął nogi. Cios wyprowadzony od boku wlaź w tarczę, głęboko, jakby metalowa obręcz na krawędzi nie istniała. Ale ostrze uwięzło w drewnie, tuż przy żelaznym „krążku”, pośrodku. „Obrót”. Vincent przekreślił tarczę, wyrывая przeciwnikowi broń.

Przy „trójce” padła kolejna myśl: „Pchnij”. Tarcza zaślniła błękitem, ale Vincent ledwo to dostrzegł, zrzucił ten obraz gdzieś na dno świadomości. Pchnął. Staranował jednego z zabójców, unikając kolejnego cięcia. Pchnięty mężczyzna jęknął i zaklął, w powietrzu rozszedł się brzydki zapach. Ostry i drażniący. Zaskwierczało.

„Cztery”. „Obrót i góra”. Vincent kątem oka dostrzegł błysk miecza. Żelazo przecinało powietrze, powoli i systematycznie. Z góry ku dołowi. Nie było możliwości uniknąć tego ataku. Nie istniała żadna szansa, by zdążył zasłonić się tarczą. Więc tarcza pojawiła się na jego lewym przedramieniu, w jednej chwili znikając z prawego. Poczuł ból, gdy paski werżnęły mu się w skórę. Łupnęło, aż zadzwoniły mu zęby, gdy przyjął cios.

„Wymach” oznaczył „piątką”. Zatoczył lewą ręką szeroki łuk, po drodze odbijając kolejny cios. Wtedy skrzesały się iskry, gdyż tarcza stała się w pełni metalowa. Nieznośny smród jeszcze się nasilił. Kończąc łuk trafił jednego z zabójców brzegiem tarczy, samą krawędzią, ostrą jak brzytwa. Vincent ciął w szyję, jakby dzierzył jakieś ostrze. Trafiony zwinął się w śmiertelnym piruecie, a jego krew, karminowym warkoczem, rozciągnęła się w powietrzu.

„Sześć”. Głos zamilkł. Czas przyspieszył, lecz wszyscy w komnacie trwali w bezruchu. Na twarzach dwóch stojących przeciwników pojawiły się emocje. Wątpliwości. Zmieszanie. Obawa? Vincent odszukał wzrokiem leżących. Jeden wił się w konwulsjach, usiłując obiema rękami zatamować krwawienie z głębokiej jak sto Piekieł rany na szyi, drugi dygotał, leżąc na wznak. Gryzący swąd dochodził od niego. Na piersi, w miejscu gdzie

dotknęła go tarcza, widniały wypalone rany, poczerniałe i, Vincent był pewien, śmiertelne jak cholera.

„Siedem”. „Dystans”, zabrzmiał głos wewnątrz czaszki Vincenta. Obydwaj zabójcy wyszarpali z kabur pistolety, jakieś ciężkie rewolwery. Czas zwolnił raz jeszcze. Paski na przedramieniu poluzowały się, gdy Vincent machnął ręką. Błyszcząca błękitem i zielenią tarcza była teraz niczym wirujący z ogromną prędkością dysk. Zabójca po lewej zdołał unieść broń. Tarcza urwała mu górną część czaszki, nieco ponad oczami.

Drugi, pewnie trzymając rewolwer oburącz, wystrzelił. Huk zagrział basem wibrującym wewnątrz całego pomieszczenia.

„Zasłona” była „ósemką”. Jakżeby inaczej. Koniec końców tarcza służy do tego właśnie. Pierwsza kula drasnęła Vincenta w prawe ramię, którym odruchowo się zasłonił, druga przeleciała gdzieś poniżej, trzecia puknęła w środek. Dał się słyszeć charakterystyczny dźwięk. Vincent znał go z filmów, w których koloniści ścierali się z lumickimi plemionami. Kule świstały tu i tam, a od czasu do czasu brzmiał ten dźwięk. Wysoki i jękliwy ton – rykoszet.

Na prawym ramieniu Vincenta lśniła mała, okrągła tarcza, umocowana grubym paskiem, cała z metalu. Na jej środku widniało maleńkie wgłębienie, które właśnie w tej chwili zanikało. Ostatni z zabójców stęknął. Nim padł na podłogę, Vincent dostrzegł obrażenia: małą dziurę pomiędzy brwiami i ogromny, krwawy, ziejący z tyłu głowy, otwór.

Vincent odetchnął. Głośno, mocno i pełną piersią. Czuł kropelki potu na czole, ramię pulsowało mu bólem.

Liczby.

„Jeden”, bo został rzucony do walki w osamotnieniu. „Cztery”, bo tylu dano mu przeciwników. „Osiem”, bo tyle ruchów musiał wykonać.

Liczby. Układy. Pozycje. Przyczyny i skutki. Zależności. Rozumiał wszystko. To był dopiero początek. Wiedział jednak, że chcąc nie chcąc, stawał się Tarczownikiem.